

B. Prus (1847-1912), Wieża paryska

Wiadomo, że w roku 1889 ma odbyć się wystawa powszechna w Paryżu. Celem zaś zwabienia największej ilości widzów, których już przestały zaciekawiać zwykle wystawy, Francuzi wymyślili szczególnego rodzaju przynętę, mianowicie wieżę – aż na 300 metrów wysoką.

Wieża będzie zbudowana ze sztab żelaznych w taki mniej więcej sposób, jak kratowe mosty na Wiśle. Będzie też najwyższym budynkiem, jaki kiedykolwiek dźwignęła ludzka ręka. Cud świata – olbrzymie piramidy egipskie wyglądają mają obok niej jak stado cieląt obok słonia.

Dosyć powiedzieć, że gdyby owa wieża, po wybudowaniu jej w Paryżu, przewróciła się w Warszawie, zajęłaby prawie całą długość Saskiego placu od ulicy Wierzbowej do Królewskiej, a może i dalej.

Dbając o zadowolenie czytelników redakcja uprosiła swego naczelnego korespondenta w Paryżu, ażeby nadesłał bliższe szczegóły dotyczące 300-metrowej wieży. Wieży jeszcze nie ma, nawet fundamentów pod nią nie wykopano i w ogóle na pewno nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie na świecie. Niemniej jednak nasz naczelny korespondent rozesał swoich oficjalistów po całym Paryżu, z surowym rozkazem, ażeby 300-metrową wieżę koniecznie znaleźli, a przynajmniej ażeby dokładnie opisali wszystko, co z niej widać.

No, i wieża znalazła się; jeden z naszych reporterów był na niej i oto co zobaczył:

Jest nas trzech na szczycie: ja, naczelny architekt i wartownik uzbrojony w potężną lunetę, przez którą widać nie tylko cały glob ziemski, ale jeszcze wszystko to, co się na nim dzieło i dzieć może.

Zaiste, obszerny widok do obserwacji. Na zachód pienia się z głuchym szumem fale Atlantyku, na południe błyszczy spokojnie zwierciadło Morza Śródziemnego, a za nim czernieją wybrzeża Afryki, wreszcie od północy i wschodu rozciąga się europejski półwysep, przyrośnięty do Azji jak olbrzymia huba do dębu.

Wicher dmie wściekły i w różne strony chwieje wierzchołkiem 300-metrowej wieży. To przypomina mi owe szczęśliwe lata, kiedy w parku łańcuchowym wdrapywałem się na szczyty drzew wybierając młode wrony. Ponieważ było bardzo zimno, skosztowaliśmy więc (z naczelnym architektem) po kropelce koniaku.

– Co pan tu robisz? – zapytałem patrzącego w lunetę wartownika.

– Śledzę, czy Niemcy nie przekraczają francuskiej granicy – odparł wartownik.

Prosiłem go, ażeby mi pozwolił popatrzeć w czarodziejską lunetę. Wartownik obrzucił mnie groźnym spojrzeniem i odpowiedział, że – jako czuwający nad bezpieczeństwem kraju, jako pojmujący swe obowiązki żołnierz i obywatel, wreszcie jako człowiek honorowy, za żadne skarby świata uczynić tego nie może. Musieliśmy aż dwa razy przepić do niego koniakiem i jeszcze ofiarować mu nie zaczęta butelkę, zanim o tyle się udobruchał, że stłumiwszy donośny głos obowiązku, pozwolił mi używać lunety w sposób, jaki mi się podoba, byłem jej tylko nie połączony.

Wicher jeszcze mocniej zakołysał szczytem wieży, a nam zrobiło się zimno. Skosztowaliśmy więc po odrobinie koniaku: ja, architekt i wartownik. Architekt zamyślił się, wartownik jednym okiem patrzył w niebo, drugim w Ocean Atlantycki, a mnie – ogarnęła wielka rzewność.

– Pokażże mi pan moich ukochanych ziomków, kiedy już mamy taką cudowną lunetę – rzekłem do architekta.

Nastawił szkła i skierował czarodziejskie narzędzie na plac wystawowy.

Zobaczyłem tam trzy pracujące grupy ludzi: 100 Francuzów, 100 Niemców i 100 nadwiślańczyków. Każda z tych grup miała wzniesić osobny budynek z dużych brył ciosowych, za których ustawienie płacono im franka od sztuki.

Niemcy i Francuzi natychmiast wybrali sobie po pięciu dyrektorów i wzięli się do roboty. Polacy z początku wszyscy chcieli być dyrektorami, o co nawet pobili się i rozbiegli. Dopiero gdy im głód dokuczył, zeszli się znowu, i zapytawszy o radę Francuzów, Niemców, przechodniów lub gapiów, wybrali sobie dyrektorów ledwie wówczas, gdy pod francuskim i niemieckim budynkiem już stały fundamenty. Ułożono się też o system wynagrodzenia.

W grupie francuskiej i niemieckiej każde 100 franków zarobionych dzielono w następujący sposób:

Na utrzymanie dyrekcji szło 25 fr., na oszczędność 25 fr., a pozostałe 50 fr. dzielono między wszystkich – po 25 centymów na osobę.

W grupie polskiej również płacono po 25 cent. jednej osobie. Ta jednak była oryginalność, że dyrektorowie brali 50 fr., a na oszczędność nie odkładano nic.

Pracowano też bardzo rozmaicie w tych grupach. Mocne i flegmatyczne Niemcy przносиły od razu po 12 kamieni, robiąc na godzinę pięć obrotów. Drobnisi, ale ruchliwi Francuzi dźwigali tylko po 6 kamieni, ale robili na godzinę po dziesięć obrotów. Polacy zaś wygłodzeni przez poprzednią awanturę, nosili tylko po 8 kamieni i robili po sześć obrotów na godzinę.

W końcu 10 godzin interes tak się przedstawiał:

Każdy Francuz i Niemiec zarobił po 3 franki; prócz tego każdy dyrektor dostał 30 franków i na każdą grupę przypadało po 150 fr. oszczędności. Polacy zaś zarobili na osobę po 2 fr. 40 cent., a oszczędności nie mieli żadnych, ale ich dyrektorzy otrzymali po 46 fr. na osobę.

W czasie wypoczynku Niemcy za oszczędzone pieniądze kupili grochowych kiszek, beczkę piwa i nasycili się tak, że każdemu z nich przybyło po pięć funtów wagi. Francuzi wypili wina, zakąsili czekoladą i sprowadzili sobie teatr, który mocno podtrzymywał wrodzoną żywość ich ducha. Polacy zaś nie bardzo syci poszli spać, ale za to dyrektorowie ich wyprawili sobie bal polski, który podziwiano w całym Paryżu.

Na drugi dzień jeden z dyrektorów francuskich, wracając z maskarady, wpadł na myśl zbudowania maszyny, która zastępowała pracę 100 ludzi. Współcześnie pięciu dyrektorów niemieckich, przestudiowawszy Euklidesa i Archimedesesa, wysmażyli plan maszyny, która zastępowała pracę 90 ludzi. Ale dyrektorowie Polacy, zmęczeni tańcem, spali coś do południa i dopiero ku wieczorowi jeden z nich wynalazł nową figurę mazura, a drugi bardzo misterne łóżko składane, z którego można było zrobić karabin i fortepian, bez możliwości jednak grania na fortepianie, strzelania z karabinu i sypiania na łóżku.

Toteż w ciągu następnych dni zarobki Francuzów podwoiły się, Niemców prawie że się podwoiły, a Polaków zostały te same. W miesiąc później gmach budowany przez Francuzów jaśniał pięknnością, Niemców imponował siłą i niezgrabnością, a polski ledwie zaczęty zaczął się rozwalać. Pracujący bowiem, straciwszy chęć do roboty, wymyślali dyrektorom, a dyrektorzy, wiedząc, że na budownictwie już nic nie zyskają, utworzyli balet i postanowili objeżdżać Europę...

Widok ten – pisze nasz paryski korespondent – napęłnił mnie wielkim żalem. Odepchnąłem precz lunetę; a że wicher dął coraz mocniej, chwiejąc na wszystkie strony wieżę, i mróz ścisnął coraz dokuczliwszy, wypiliśmy więc po kropelce koniaku: ja, naczelny architekt i wartownik.

Żal mój przemienił się teraz w gniew.

– Niech diabli porwą pańską lunetę – krzyknąłem do wartownika. – Pokazuje rzeczy głupie i niegodziwe!...

– Przecież nie ona temu winna. – odparł coraz pochmurniejszy architekt.

Wartownik nie odpowiedział nic; zajęty był śpiewaniem *Marsylianki*.

– Wiem – mówiłem do architekta – że moi rodacy, osobliwie rzuceni na obczyznę, nie mogą dorównać ani wam, ani Niemcom. Każdy z was nie byłby lepszy w podobnym położeniu. Za to w domu, u siebie, robią co mogą i chyba nie gorzej od was.

– Wątpię to ludność – rzekł architekt – i powinna by dużo pracować nad swoją higieną i dietetyką.

– Bądź pan o to spokojny – odparłem. – Mamy w Warszawie tylu lekarzy, że już tworzy się u nas lekarski proletariatus, a młodzi medycy wyjeżdżają za guwernerów.

– Zobaczmy jednak, jaki ci ludzie mają wpływ na wasz ogół – rzekł architekt i począł kierować lunetę ku Warszawie.

Ze smutkiem wyznać muszę, że towarzysz mój nie od razu znalazł Warszawę. Szukał jej kolejno w Turcji, Węgrzech i w Niemczech i dopiero przypomniawszy sobie ze Strabona czy innego starożytnego geografę, kierunek Wisły – z wielką biedą trafił akurat za wolskie rogatki.

Spojrzałem w okular i – włosy stanęły mi na głowie. Zobaczyłem bowiem nad zamarznąłą glinianką jakiegoś człowieka, który wyrąbawszy lód unurzał kilka razy w przerębli towarzyszącą mu kobietę... Błada twarz i mdłe ruchy unurzonej nasunęły mi myśl, że musi to być osoba chora.

– Wariat czy morderca?... – spytałem przerażony, tym bardziej gdy mój spozrzegł, że wykąpana kobieta upadła na ziemię, a z jej przymkniętych oczu i nagle zmienionych rysów można było poznać, iż umarła.

Tajemnicę tej łaźni wyjaśnił mi w kilku dni wasz "Kurier". Z rubryki policyjnych wypadków dowiedziałem się, że pewien mąż, z porady znachorki, dla przywrócenia sił chorej żonie wykąpał ją w gliniance...

Współczucie moje dla biednej kobiety było tak wielkie, że trząsałem się z zimna. A ponieważ wicher coraz gwałtowniejszy trząsał wieżę, wypiliśmy więc po odrobinie koniaku: ja i architekt. Wartownikowi, który już gadał coś przez sen, musieliśmy gwałtem otwierać usta i przez zaciśnięte zęby wlewać płyn rozgrzewający.

– Jestem pewny, żeś pan w Warszawie nie zobaczył nic pocieszającego – rzekł architekt.

– Diabła warta pańska luneta!... – mruknąłem.

– Ależ ona pokazuje tylko to, co jest...